

III. SUKCESY I PORAŹKI

Nie wszystko w tych podróżach odbyło się bez zarzutu, ale trzeba pamiętać, że każda praca pionierska musi popełnić mniej lub więcej liczne błędy.

MARIUSZ ZARUSKI „Z harcerzami na Zawiszy Czarnym”

1. NAUKA

W skuteczność, a nawet w możliwość nauczania na kiwającym stateczku wątpiło wielu. Główną przyczyną tych wątpliwości, poza — powiedzmy to otwarcie — brakiem zaufania, był brak wyobraźni. On to nie pozwalał dostrzec zalet nietypowej szkoły, eksponował potencjalnie wady i kojarząc jej model z tradycyjnym podziałem doby na morzu między trzy wachty, malował bezsensowny obraz trójzmianowej szkoły, działającej również w nocy. Tymczasem rzut oka na ramowy rozkład dnia obowiązujący na jachcie pozwala zrozumieć, jak prosto rozwiązano ten problem.

ROZKŁAD WACHT I RAMOWY PLAN DNIA

Godziny	Wachta	Oficer
0.00— 4.00	I	1
4.00— 8.00	II	2
8.00—12.00	Nauczycielska	3
12.00—14.00	Nauczycielska	4
14.00—16.00	III	4
16.00—18.00	I	1
18.00—20.00	II	2
20.00—22.00	III	3
22.00—24.00	III	4

7.00 —	pobudka
7.05— 7.25	gimnastyka
7.30— 7.55	śniadanie
7.55— 8.05	apel
8.05— 8.20	klar osobisty
8.20— 9.05	1 lekcja
9.10— 9.55	2 lekcja
10.00—10.45	3 lekcja
10.50—11.35	4 lekcja
11.40—12.25	5 lekcja
12.30—13.15	6 lekcja
13.15—13.45	obiad
14.00—16.00	I wachta czas wolny, II wachta nauka własna
16.00—18.00	II wachta czas wolny, III wachta nauka własna
18.30—19.00	kolacja
19.00—20.00	III wachta czas wolny, I wachta nauka własna
20.00—21.00	zajęcia kulturalno-oświatowe
21.00—21.55	klar osobisty, przygotowanie do ciszy nocnej
22.00— 7.00	cisza nocna

Mimo przejrzystości planu dnia dodajmy do niego kilka zdań komentarza.

Chłopcy byli podzieleni na trzy wachty i obowiązywały ich cztery godziny służby pokładowej w nocy i dwie godziny po południu. Rano odbywały się lekcje, a w tym czasie służbę na pokładzie pełniła wachta nauczycielska. Określenie nauczycielska nie w pełni odzwierciedla rzeczywistość, bo w skład tej wachty łącznie z oficerem i jego asystentem wchodziło

zaledwie troje nauczycieli; resztę stanowili goście zagraniczni. Do wachty tej należał też Janek Muszyński — nasz operator filmowy, który nauczycielem nie był. Czy wachta ta wystarczała do obsługi statku? Z reguły tak, a jeżeli było to konieczne, do pomocy stawiali pozostali oficerowie i asystenci. Często odkładaliśmy wykonanie zwrotu czy innego manewru żaglami do przerwy w lekcjach i wykorzystywaliśmy wówczas do pracy wszystkich Kaczorów. Czasem odbywało się to kosztem straty pięciu czy dziesięciu minut następnej lekcji, a bywały też sytuacje, gdy trzeba było lekcje przerwać zupełnie, by posłać załogę na reje.

Każda wachta miała w ciągu dnia dwie godziny czasu wolnego i dwie godziny obowiązkowej nauki własnej. Nauka własna odbywała się w klasie, gdzie panował — przynajmniej teoretycznie — rygor ciszy, podobnie jak w czytelni publicznej. Kaczor, który nie uczył się w czasie nauki własnej, był bez litości zmuszany do dodatkowej pracy przy konserwacji jachtu. Czas wolny przeważnie też wykorzystywano na naukę lub na sen, bo snu nigdy nie było za dużo. Trwająca dziewięć godzin cisza nocna była przecież skracana o godziny nocnej służby, przy czym w najgorszej sytuacji byli chłopcy mający „psią wachtę”, to jest od północy do czwartej rano. Dlatego też, aby sprawiedliwości stało się zadość, rozkład wacht zmieniano cyklicznie co trzy miesiące.

Jeżeli nie wykonywano żadnych manewrów, nie stawiano i nie zrzucano żagli, to do prowadzenia statku, oprócz oficera i jego asystenta, wystarczało dwóch do czterech chłopców: sternik, jeden lub dwóch na oku (zależnie od sytuacji) i czasem tak zwany podręczny. Reszta wachty w dzień pracowała pod kierunkiem bosmana, w nocy przebywała w klasie, ubrana i gotowa na każde wezwanie, ale mogła w tym czasie uczyć się lub spać. W ten sposób, a także innymi metodami, na przykład polecając wcześniej kłaść się spać

wachcie wstającej o północy, poprawialiśmy wciąż deficytowy bilans snu. Staraliśmy się też szanować nocny wypoczynek załogi i na palcach jednej ręki można policzyć w ciągu całego rejsu przypadki wezwania w nocy uczniowskiej podwachty na pokład. Kadry nie oszczędzano. Wszelkie manewry wymagające pracy wielu rąk, jeśli to tylko było możliwe, były dokonywane podczas zmiany wachty, gdy do dyspozycji była podwójna ilość ludzi. Wielokrotnie również czas przeznaczony na gimnastykę poranną wykorzystywano do pracy przy żaglach.

Z każdej wachty oddelegowywano dwóch chłopców do wachty kambuzowej. Jej skład codziennie się zmieniał. Zadaniem wachty kambuzowej było przygotowywanie posiłków pod kierownictwem Arniego Copy, naszego kuka, podawanie do stołu, sprzątanie po posiłkach i utrzymywanie czystości wewnątrz jachtu. Wachta kambuzowa nie uczestniczyła w lekcjach. W ten sposób każdy uczeń tracił co piąty dzień lekcje. Członkowie wachty kambuzowej byli obowiązani do bieżącego uzupełniania zaległości. Robili to w czasie przerw między posiłkami oraz mieli prawo pójść spać o godzinę później niż pozostała część załogi, a za to byli zwolnieni z czterogodzinnej służby w nocy i po pracy w kambuzie spali bez przerwy aż do pobudki. Nie obowiązywała ich oczywiście służba i praca na pokładzie ani nawet alarmy do żagli, pełnili natomiast dodatkowo służbę trappową w porcie, gdy inni wyruszali na wycieczkę.

W szkole realizowano program drugiej klasy liceum ogólnokształcącego o profilu podstawowym, był to jednak program poszerzony o elementy filozofii i religii wyznawanych w odwiedzanych krajach, o pogadanki na temat ich historii, kultury i gospodarki, wykłady teorii żeglarstwa i praktyczne ćwiczenia z nawigacji. Ponadto odbył się cykl zajęć z teorii nurkowania. Trzeba do tego dodać, że każdy z nauczycieli

reprezentował bardzo wysoki poziom wiedzy w zakresie wykładanych przedmiotów, a szkoła była bogato wyposażona w pomoce naukowe, co w naturalny sposób prowadziło do pogłębiania i poszerzania materiału. Sporo czasu poświęcono na zajęcia laboratoryjne, np. z biologii czy z fizyki.

Na „Pogorii” obowiązywała nauka dwóch języków zachodnich, a nie tylko jednego, jak w szkołach na lądzie. Wszyscy uczyli się angielskiego. Drugim językiem dla trzech uczniów był francuski, dla pozostałych niemiecki. Angielski był prowadzony w dwóch grupach: dla początkujących i dla tych, którzy mieli już za sobą rok nauki tego języka w pierwszej klasie. W drugim półroczu uczono również niemieckiego w grupie dla początkujących i zaawansowanych. Jeśli wziąć pod uwagę, że jeden z uczniów uczył się dodatkowo łaciny, to można powiedzieć, że na „Pogorii” poza polskim i rosyjskim uczono się pięciu języków w siedmiu grupach, gdyż jeszcze jeden z uczniów przerabiał francuski indywidualnie korzystając z konsultacji.

Wychowanie techniczne realizowano podczas pracy w kuchni, w maszynowni, przy konserwacji jachtu, reperacji sprzętu elektrycznego i mechanicznego, w pracowni fotograficznej, przy szyciu żagli, robotach linowych itd. Nie sądzę, by jakikolwiek uczeń, w jakiegokolwiek szkole ogólnokształcącej był w stanie zdobyć w tej dziedzinie więcej umiejętności przez cztery lata, niż naszym chłopcom udało się w ciągu jednego roku szkolnego.

Na wychowanie muzyczne składały się regularne lekcje uzupełniane wieczornymi śpiewami, muzykowaniem, nauką gry na gitarze. Niektórzy chłopcy nawet sami komponowali piosenki. Była to naprawdę rozśpiewana klasa.

Wychowania plastycznego w „Szkole pod żaglami” nie prowadzono, ale uczniowie wykonywali mnóstwo prac z tego zakresu przy okazji chrztu równikowego, szopki, wystę-

pów kabaretowych itd. Były to kostiumy, afisze, okolicznościowe pieczątki, oprawa graficzna fotowystawy, dyplomy, laurki okolicznościowe itp.

Wychowaniem fizycznym była przede wszystkim ciągła praca przy żaglach oraz codzienna dwudziestominutowa gimnastyka poranna, niechętnie zresztą wykonywana przez chłopców. W portach rozgrywano mecze piłki nożnej, siatkówki i koszykówki z reprezentacjami miejscowych szkół i nie tylko: raz zdarzył się nawet mecz z drużyną policji portowej. Gdy tylko na nabrzeżu było wystarczająco dużo miejsca, przenoszono tam gimnastykę poranną, zamieniając ją na biegi czy grę w piłkę. Podczas postoju na kotwicznicach na Morzu Śródziemnym, Czerwonym oraz w rejonie Malediwów organizowano zawody pływackie oraz przeprowadzono kurs swobodnego nurkowania. W sumie jednak, jak pisze w swym sprawozdaniu lekarz rejsu doc. dr Karmina Stańkowska, specjalista medycyny sportu: „program w czasie pobytu w portach uwzględniał zbyt mało intensywnych wycieczek, marszobiegów czy zajęć sportowych, które by wyrównywały niedobór ruchu fizycznego w czasie żeglugi”. A Kaczory w związku z tym podczas rejsu nieźle się utuczyły.

Plan lekcji zmieniano w czasie rejsu aż 10 razy, nie licząc kilku drobnych korekt, dostosowując go do zmian wacht, różnego tempa realizacji programu z poszczególnych przedmiotów i innych potrzeb. Szkoły bowiem nie można było oddzielić od życia na żaglowcu, od służby i pracy. Wszystko to było związane ze szkołą tysiącem zwrotnych sprzężeń, uzupełniało się i wykluczało, pomagało i przeszkadzało sobie wzajemnie.

Nauka, jeśli tylko warunki na to pozwalały, odbywała się codziennie, również w soboty, niedziele i święta z wyjątkiem pierwszego dnia Świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy,

Nowego Roku i częściowo 1 Maja. Za to w portach lekcji na ogół nie prowadzono. Uczniowie uczyli się chętnie i nauka w pierwszym półroczu szła nieźle, mimo trudności związanych z adaptacją do nowych warunków życia. W drugim półroczu, a zwłaszcza pod koniec roku nasiliły się kłopoty. Głównym ich powodem był niski poziom wiedzy wyniesionej ze szkoły podstawowej przez niektórych uczniów, co stwierdzono już w Wierchłędzie, ale nie był to powód jedyny. Jak już wspomniano, wszyscy nauczyciele bez wyjątku bardzo dobrze znali wykładane przez siebie przedmioty, natomiast nie wszyscy reprezentowali odpowiednio wysoki poziom wiedzy pedagogicznej, co nie pozostało bez wpływu na wyniki w nauce.

Wymagania stawiane uczniom były bardzo wysokie, szczególnie z niektórych przedmiotów, co spowodowało, że słabsi uczniowie, chcąc sprostać zawyżonym wymaganiom, wzmacnianym również poza lekcjami presją wywieraną przez nauczyciela o silnej osobowości, zaniedbali inne przedmioty, nigdzie nie odnosząc sukcesów. Całkowite zwolnienie tych słabszych z wacht w ostatnich tygodniach szkoły pomogło, ale jedynie częściowo.

Formalnie rezultat nauczania wyglądał w ten sposób, że bez ocen niedostatecznych ukończyła szkołę tylko połowa uczniów. Dziewięciu miało jedną lub dwie oceny niedostateczne, pięciu więcej niż dwie. Rekord w tej dziedzinie wyniósł siedem ocen niedostatecznych, co świadczy, że jego posiadacz, bardzo wartościowy i lubiany przez wszystkich chłopiec, załamał się lub został załamany i przestał się zupełnie uczyć. Najwięcej ocen niedostatecznych wystawiono z języka polskiego i historii — po osiem oraz z rosyjskiego — sześć, z fizyki i matematyki — po pięć.

Uczniom rozdano świadectwa ze stopniami, przy czym w miejsce ocen niedostatecznych wpisano „do przeegzami-

nowania”, gdyż „Szkoła pod żaglami” nie miała formalnego prawa promowania uczniów ani decydowania o konieczności powtarzania klasy. Zgodnie z ustaleniami Ministerstwa Oświaty i Wychowania decyzję w tej sprawie pozostawiono macierzystym szkołom uczniów, którzy mogli być przeegzaminowani i ocenieni ze wszystkich przedmiotów niezależnie od ocen uzyskanych na „Pogorii”. Było to mądre ustalenie, bo gdyby miały obowiązywać nasze stopnie, wielu uczniów musiałoby niepotrzebnie powtarzać rok. Niepotrzebnie, bo dwójka na „Pogorii” była równa trójce lub nawet wyższej ocenie w przeciętnej szkole. Życie potwierdziło tę tezę. Wszyscy przeszli do następnej klasy. Dwa lata później dwie trzecie uczniów „Szkoły pod żaglami” dostało się na wyższe studia.

Jak stąd wynika, rejs na Ceylon nie był „przyjemną wycieczką pięknoduchów”, ale ciężką harówką niedospianych i wciąż gonionych do pracy uczniów, a szkoła na „Pogorii” nie była „lipą”, jak podejrzewali początkowo nawet niektórzy jej uczniowie. Zajrzyjmy do ich brutalnie szczerych wypracowań pisanych z okazji setnego i dwusetnego dnia rejsu:

... Jest to przecież sto dni naszej wymarzonej przygody, na którą musieliśmy prawie cały rok pracować oraz przejść poprzez wyszukane eliminacje i sprawdziany... Wyobrażaliśmy sobie, że opłyniemy Afrykę, poznamy wiele ciekawych krajów i miejsc, wyżyjemy się fizycznie poprzez pływanie, nurkowanie, wspinaczkę (nie tylko na reje), poopalamy się, odpoczniemy. „Pogoria” miała nam służyć jako środek transportu i dom. No, i wreszcie przy okazji mieliśmy przerobić materiał II klasy LO. Okazało się jednak, że jest całkiem inaczej... Cisną nas strasznie, a dawni piątkowicze męczą się na trójki. Nie jest jednak tak źle... Zdążyliśmy przyzwyczaić się do trudów i zauważamy korzyści, jakie

mamy z tego rejsu... Poza tym rejs ten jest jednak wielką przygodą i dobrze by było, aby nie była to jedyna tego rodzaju przygoda w życiu.

... Myśl o szkole spędza nam sen z oczu... szkoła, nauka paraliżuje wszelkie życie na jachcie. Na pewno wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby jej nie było. (...)

Przede wszystkim na pewno kwitłoby życie kulturalne — imprezy, nowe piosenki, bale, showy, kabarety — praca wykonywana przez nas byłaby bardziej efektywna niż teraz, gdy człowiek szyje żagiel czy obsługuje maszt, a w głowie ma: „wielka wojna trzydziestoletnia”, „proces wielkopiecowy, wytapianie żelaza”, „diody — repetycja”, „Nieboska komedia”, i jak tu pracować?!

... Ostatnio, wspominając szkołę i dom przypominaliśmy sobie, jak to było łatwo wykręcić się od odpowiedzi w szkole czy wytłumaczyć swoją nieobecność. „Panie profesorze — stałem w kolejce po buty” lub „mama wysłała mnie po zakupy”. Każdy wymieniał jedno takie usprawiedliwienie, a reszta parskała śmiechem — usprawiedliwienia wydały nam się tak niedorzeczne. (...)

Tutaj jest możliwe najwyżej jedno wytłumaczenie: „Byłem na rejach”. Szkoła dominuje na każdym kroku. Cisza nocna jest od 22.00 — w mesie, poza wachtą kambuzową, nikt nie ma prawa się uczyć. Myliłby się jednak ten, kto powiedziałby, że śpią wszyscy, którzy powinni. W toaletach wkuwana jest geometria, studiowane są ubezdźwięczenia głosek w wyrazach, ostro idzie nauka słówek z angielskiego czy niemieckiego...

... Martwię się matematyką. Kiedy przyjadę do Polski, będę zacořany w stosunku do mojej klasy. Ale to nadrobie, gorzej, że robimy mało zadań. Odpowiedź wydaje się prosta — rób to sam. Tylko kiedy? Pan Robak skutecznie do tego nie dopuszcza. Np. trzeba opracować pisemnie jakiś temat, nauczyć się tego tematu, który był na lekcji, na następnej lekcji będzie sprawdzian. Jest fajnie — zajmuje to nam

2 godziny i jest już wachta, po wachcie trzeba szybko odwalić resztę lekcji i spać. Ponieważ lekcje z panem Robakiem są prawie codziennie, widzę efekty. Zadania ze zbiorów z matematyki i z fizyki nie ruszone, nowe słówka z angielskiego znane gorzej niż pobieżnie, z niemieckiego to mam na razie dobre chęci. No, ale przecież jesteś dobry z polskiego, rosyjskiego, historii — może ktoś powiedzieć. Nie jestem o tym przekonany. Po tygodniu zapominam daty, cytaty — no bo wkułem je na klasówkę i już mi są niepotrzebne. I jeszcze jedna sprawa. Niedziel nie ma, ale jest to dzień z „luźnymi lekcjami”. Teraz wpakowano dwie robaczywe i wszystko diabli wzięli. Ciekawe, co się bardziej opłaca: dzień odpoczynku i możliwość nadrobienia zaległości czy powiększanie ich, ale przerabianie programu? W portach bywa różnie. Zdarzało się, że nie ma prawie czasu na prywatne wyjście do miasta. Jeżeli jest wycieczka, to nie ma sprawy, ale jeżeli się robi lekcje?...

... Czy żdera nas nostalgia? Chyba nie, na moim przykładzie mogę powiedzieć, że bez zawijania do Polski mógłbym popłynąć jeszcze na jakąś operację zagłową gdziekolwiek. Jednak gdyby ktoś proponował mi odbycie podobnego rejsu z przerobieniem następnej klasy, długo bym się zastanawiał. Byłbym niezdecydowany z tego względu, że szkoła jest tutaj przekleństwem, jest tym, co psuje wszystko, każdą radość z czegokolwiek psuje nam ta jedyna szkoła. Wiem, że bez szkoły nie byłoby rejsu, ale żegluga bez szkoły jest wspaniała...

Oj, bywały chwile, że niejeden z członków kadry chętnie by się podpisał pod tym ostatnim zdaniem, bo Kaczory też potrafiły zalać sadła za skórę! Ale tu już wkraczamy w sferę wychowania.

2. WYCHOWANIE

Przed rejssem wydawało się, że sprawy wychowawcze w „Szkołe pod żaglami” nie będą nastroczały większych trudności. Liczyliśmy, że chłopcy niejako automatycznie nauczą się koleżeństwa, współdziałania w zespole, solidności, porządku, dyscypliny, odpowiedzialności, punktualności i wielu, wielu innych cech charakteryzujących żeglarzy. Przemawiał za tą tezę i sposób doboru młodzieży, i cały przebieg obozu przygotowawczego w Wierchłądzie, i wreszcie wszelkie poprzednie doświadczenia wychowania na morzu, które samo przez się stanowi potężny czynnik wychowawczy. A jednak w tej sferze ponieśliśmy szereg bolesnych porażek. Dlaczego tak się stało? Można by to tłumaczyć faktem przyniesienia przez młodzież pewnych, zakorzenionych już w jej świadomości, niewłaściwych postaw, coraz bardziej szerzących się w społeczeństwie. Jeśli nawet tak częściowo było, to nasze zadanie powinno polegać na prostowaniu tych skrzywionych kręgosłupów, na demonstrowaniu właściwego wzorca postępowania i przekonaniu młodzieży, że wzorzec ten warto naśladować. Tu właśnie leży źródło naszych niepowodzeń: nie byliśmy w stanie dać im dobrego, własnego przykładu. Ogromne różnice poglądów, celów i zachowań zachodzące między grupą najaktywniejszych organizatorów rejsu — których żeglarska kariera zaczęła się w antarktycznym rejsie „Pogorii” i tylko z tym jachtem była związana — oraz ich przyjaciół a resztą kadry nie mogły pozostać bez wpływu na sprawy wychowawcze i na ogólną atmosferę wyprawy, daleką od tej, którą określa się mianem żeglarskiej. Mimo to uważam, że kadra jako całość może sobie pogratulować umiejętności współpracy i skuteczności działania.

Jakie były nasze największe niepowodzenia? Czego nie zdołaliśmy wpoić w naszych wychowanków?

Najbardziej przykrą sprawą był u nich, a ściślej mówiąc u niektórych z nich, brak poszanowania społecznej i prywatnej własności. Mam przy tym wrażenie, że na początku rejsu tak nie było. Pamiętam charakterystyczną scenę, jaka miała miejsce w Great Yarmouth, drugim z kolei porcie naszej podróży. Przywieziono żywność, którą chłopcy przynosili z samochodu na jacht. Podczas transportu pękła skrzynka z jabłkami i któryś z nich chciał wziąć sobie jedno z rozsypanych jabłek. Reakcja reszty była ostra i prawidłowa: „Połóż do skrzynki! Bez zezwolenia samemu brać nie wolno!” A co było później? Później Kaczory zaczęły naśladować kadrę, której było wszystko wolno. Poczęto łasować, janosikować i gorzej, wyrównując krzywdy, bo jeśli kadrze wolno pić alkohol, to Kaczory wypiją kompot robiąc porządek w magazynku, jeśli kadra na swym zebraniu jadła słodczyce, to Kaczory zjedzą czekoladę. Wstyd o tym pisać, ale zdarzały się dużo gorsze wyskoki.

Nie zdołaliśmy nauczyć chłopców porządku, odpowiedzialności i dyscypliny w takim stopniu, jak byśmy chcieli. Ład w kubrykach pozostawiał zwykle wiele do życzenia, a robione „piloty” nie odnosiły skutku, a to m.in. dlatego, że w naszych kabinach często też panował bałagan. Wciąż kulała służba na oku i z reguły officer na mostku dawno już widział statek przecinający kurs, zanim zameldowało go oko. Służba na oku poprawiła się radykalnie, gdy za spanie na tym stanowisku wprowadzono wreszcie jedyną karę, jakiej bali się chłopcy: zakaz opuszczania jachtu w ciągu całego postoju w najbliższym porcie.

W wielu przypadkach nie można było na niektórych chłopcach zupełnie polegać. Zdarzało się, że Kaczor wysłany z rufy na dziób z jakimś poleceniem zapominał o nim, zanim

doszedł na miejsce. Bosman wiecznie zbierał narzędzia beztrudno pozostawione tam, gdzie przerwano lub skończono pracę. Wszyscy drżeli, że znów pewnie przepali się warnik, do którego nikt nie doleje wody po całkowitym opróżnieniu. Żaden sztorm nie wytłukł tylu naczyń, co nasi milusińscy. Raził też czasem wzajemny stosunek chłopców do siebie. Nie chodzi mi tu o drobne nieporozumienia czy nawet bójki, które czasem zdarzały się między nimi — to normalne w tym wieku — pomijam też język, jakim zwracali się do siebie, gdy byli zdenerwowani, a sądzili, że nikt ze starszych ich nie słyszy. Mam na myśli głębsze przejawy egoizmu, wychodzące na jaw między innymi w bezkrytycznym dążeniu do absolutnie równego, w ich pojęciu jedynie słusznego i sprawiedliwego, podziału pracy. Jeżeli należało w nocy obrać kubeł ziemniaków do zupy na następny dzień — pół godziny roboty dla dwóch osób — liczono je, dzielono na trzy kupki, po jednej dla każdej wachty, i turlały się te ziemniaki razem z kubeł w mesie przez całą noc, czekając na kolejne zmiany wacht, by sprawiedliwości stało się zadość. Ta sama metoda powodowała, że w czasie dwugodzinnej wachty potrafiło się zmienić trzech sterników, bo wszyscy musieli sterować po równo, np. po trzydzieści osiem minut, gdy ster przejęli z kilkuminutowym opóźnieniem. Ledwie się taki sternik wsterował, to jest przywykł do reakcji jachtu na wychylenie steru przy danym ustawieniu żagli, sile wiatru i fali, a już następowała zmiana i cała zabawa zaczynała się od początku. Trzeba było widzieć, jakie wprowadziłem zamieszanie w sprawiedliwości społecznej żądając, by na mojej wachcie zmiany przy sterze były nie częstsze niż co dwie godziny. Albo inny obrazek z tego samego cyklu. Wychodzi w nocy na wachtę tylko siedmiu chłopców, bo jeden jest chory. Do obsadzenia stanowisk potrzebuję czterech, trzech idzie spać do klasy. Po dwóch

godzinach następuje zmiana, ale stawia się tylko trzech.

— Gdzie czwarty? — pytam.

— Chory — pada odpowiedź.

— Wiem, ale potrzebuję czterech ludzi do obsadzenia stanowisk.

— To niemożliwe, dziś na oku musi być tylko jeden, bo jest nas siedmiu.

— Musi być i będzie dwóch. Najwyżej jeden z was będzie wachtował przez pełne cztery godziny tak, jak ja i nie skorzysta z premii, jaką są dwie godziny dodatkowego wypoczynku. Wasza sprawa, kto to będzie.

Skutek był taki, że podzielili te dwie godziny równo między pierwszą wachtującą czwórkę, to znaczy dwóch chłopców musiało przerwać sobie w środku na pół godziny dwugodzinny sen, by było sprawiedliwie. Koncepcja typu „ty się dzisiaj wyśpij, a ja jutro i obaj na tym skorzystamy” była nie do preforsowania.

Ta ostatnia historyjka może też służyć jako ilustracja do postawy „nam się należy”. Wystarczyło kilkakrotne wyrażenie zgody na to, by połowa wachty odpoczywała, pozostając na „stand by”, a już zrodziło się przekonanie, że jest to prawem i każde żądanie pełnienia wachty przez całe cztery godziny spotykało się ze zdziwieniem i protestami. A protestować Kaczory umiały ostro, zwłaszcza wobec osób o łagodnym usposobieniu. Wychodziło wówczas na jaw tłumione statkową hierarchią dążenie do szeroko pojętego egalitaryzmu: „Dlaczego głosy Kaczorów nie są brane po uwagę na równi z głosami kadry?” Tu z przykrością trzeba stwierdzić, że ci, którzy traktowali chłopców brutalnie, mieli z nimi o wiele mniej kłopotów, niż ci o gołęmb sercu oraz dobrych manierach, starający się zachować wobec nich partnerski stosunek.

Przytaczam, co same Kaczory sądzą o sobie, kadrze i stosunkach panujących na jachcie:

...Zauważyłem, że zwykły Kaczor np. taki jak ja, nie jest traktowany normalnie przez osoby starsze. Zawsze ktoś z kadry ma pretensje do takiego Kaczora, że się nie stara, ucieka od roboty, pyskuje starszym. Nie dopuszcza do głosu tej młodszej strony, choćby po części miała rację...

...Niekiedy trudno już wytrzymać. Chodzi o stosunki między nami. Wprawdzie trudno się dziwić — już 7 miesięcy rejsu i przez ten cały czas te same twarze na kilkudziesięciu metrach kwadratowych. Każdy każdego już dość dobrze zna, wie, co można oczekiwać po innych. Strasznie denerwują, wręcz doprowadzają do szału sytuacje wymagające działania, małego poświęcenia i zaangażowania, a które się „olewa”. Robią to wszyscy. Często widzimy nie dociągnięty gording, nie sklarowane liny itd. Zdarzają się też wypadki brania cudzych napoi, kompotów, słodczy. Wielokrotnie mówi się o tym, ale nic nie pomaga. Nie można się powstrzymać? Żadnym wytłumaczeniem nie jest brak słodczy czy chłodnych napoi. Takie rzeczy strasznie denerwują i doprowadzają do konfliktów i nawet antagonizmów. Najgorsze jest to, że wszyscy robimy to samo... Tutaj uczymy się walczyć o swoje (co mnie obchodzi inny — ważne, że ja mam). Takie podejście „przyda” nam się jeszcze w życiu. Właśnie tacy ludzie dochodzą w Polsce nie tylko do głosu. Nie znaczy to, że będą szczęśliwi — po prostu będą mieli pieniądze. Często postępuję tutaj po chamsku. Używam przekleństw i nie zwracam uwagi na innych. Dostaję i w kość od innych. Trwa nieustanna walka. Jest to o tyle dobre, że gdy znajdziemy się w życiu w podobnej sytuacji, będziemy mogli spokojnie stawić jej czoła. Uczymy się łamać trudności i opory. ...Zdarzają się też zgrzyty między Kaczorostwem a kadrą. Oficerowie mają nieraz rację, niekiedy więcej racji ma Kaczor. Wiemy już jednak, że zwycięstwo zostaje w rękach silniejszego. Tak musi być i kropka.

...7 września wypłynęliśmy z Gdyni w rejs marzeń. Jednak szybko nadeszło otrząśnięcie. Na początku choroba

morska, a później kłopoty w nauce. Jednak nie to było najgorsze. Najgorsze było, że w swych kłopotach nie mieliśmy w ogóle oparcia w naszej kadrze. niesprawiedliwym byłoby stwierdzenie, że cała kadra nie zwracała uwagi na nasze kłopoty, lecz częściej spotykałem się osobiście z wyśmiewaniem moich wad niż z pomocą. Szczególnie mnie dotknęło to, gdy po jednej lekcji pan Kazimierz nawiązał do naszych wypracowań z j. polskiego na temat naszej drogi do „Szkoły pod żaglami”. W niezbyt wybredny sposób wyśmiewał się z motywów, jakie kierowały nas do „Szkoły pod żaglami”. Krótko można powiedzieć, że odebrałem je tak: „Kto, wy Kaczory chcieliście iść na morze, wy niedorajdy ujarzmiacie żywioły, chciały iść do Liceum Morskiego, a teraz rzygają”. Osobiście dotknęło mnie to bardzo i chyba nie twierdzi teraz pan, który to mówił, że będziemy z nim szczerzy w rozmowie; czy zyska sobie tym naprawdę autorytet, a nie posłuch spowodowany tępym strachem. Stworzyła się granica między nami, co spowodowało, że w ogóle nie możemy się nawzajem poznać i współpracować. Często mówią, że z Kaczorostwa nic nie wyrośnie, że je tak poznali, że mogą powiedzieć, że są to zera. A g... Jak można poznać człowieka ciągle trzymając go w strachu przed sobą, w strachu przed powrotem, patrząc na niego z góry? Co taki jeden pan wie o naszym dotychczasowym życiu, naszej działalności na lądzie, naszych marzeniach, dążeniach? Jak można osądzać człowieka na podstawie błędów ortograficznych czy wydolności fizycznej? Często mówi się o tym, że nie ma ludzi gorszych, lecz są inni. Dlaczego nie stosuje się tego także do nas? Dlaczego chcą niektórzy zrobić nas podobnymi do siebie? Czy sami uważają się za tak wspaniałych, by być wzorami, czy sami na początku nie mieli trudności, gdy wybrali nową „drogę”. (...) Często sobie myślę, że gdyby moja dziewczyna w kraju zobaczyła mnie, jak dostaję w głowę czy jak z poddańczym wyrazem twarzy przyjmuję wszystkie epitety pod moim adresem (ślusne czy niestosne) i nie reaguje nawet słowem, to nie mógłbym spojrzeć jej

w oczy. Zdaje sobie sprawę, że gdybym zostawił tę wypowiedź w stanie, w jakim jest ona teraz, byłoby to krzywdzące i niesprawiedliwe. Dotychczas przedstawiłem jedynie to, co leży mi na sercu, co mnie gnębi. Wspaniale zdaje sobie sprawę, jak wiele wysiłku i pracy kosztuje i kosztowało tych ludzi zorganizowanie tego rejsu. Jak wiele wysiłku wkładają w „nauczenie nas świata”. Jednak czy byłiby usatysfakcjonowani, gdybyśmy się nauczyli j. polskiego czy biologii, a stracili własną osobowość, w którą niektórzy zresztą wątpią? Pomimo to z perspektywy 100 dni nie żałuję, że wypłynąłem. Wiem, że doświadczenia te będą procentowały i z czasem stracą zły cień. Ani razu nie stwierdziłem, że nie nauczę się tu więcej niż na lądzie lub że nie zobaczę świata. Obecnie już życie na morzu mnie nie męczy i jest przyjemne. Jednak czy nie można było żyć pod pokładem lepiej? Czy nie mogliby wszyscy być tacy jak kapitan czy dyrektor szkoły? Ja jeżeli ich zawiodę, to czuję się głupio, a gdy pana Kazimierza — to tylko się martwię „pałą” z polskiego. Bardziej się boję pełnego wyrzutu spojrzenia kapitana niż gróźb innych osób. Może ktoś powiedzieć, że słowa te dowodzą całkowitej niewdzięczności z mojej strony w stosunku do osób, które umożliwiły mi szansę poznania świata. Byłoby to niesprawiedliwe, gdyż czuję wdzięczność, lecz napisałem o tym, co mi się nie podoba, co bym chciał zmienić, wreszcie o czym często rozmawiamy między kolegami. Ktoś powiedział: „Każdy człowiek ma swoją opowieść”. Aby z nim żyć, trzeba jej wysłuchać.

... Ponadto całą tę imprezę cechuje chaos, brak organizacji i za przeproszeniem burdel. I tak jest zawsze, czy to w porcie, czy na wycieczce. Nic nie jest załatwione do końca. Jeżeli jest coś organizowane, to dowiadujemy się o tym w ostatniej minucie na apelu... Ponadto, jak wiemy wszyscy, kadra się „gryzie” (no może teraz się uspokoiło), ale cóż my, Kaczory, jesteśmy temu winne, a najczęściej odbija się to na nas. (...) Cóż, jest to eksperyment... Przy następnym rejsie można

będzie skorzystać z doświadczeń obecnej podróży i dobrać zarówno odpowiednią kadre, jak i Kaczorów w inny sposób, bo nie spełniliśmy chyba oczekiwań...

3. ZDANIEM KACZORÓW

Potrafiły Kaczory wygarnąć prawdę w oczy i nam, i sobie, a w pojawiających się od czasu do czasu na ścianie kubryku „Gazetkach Wielkich Hieroglifów” nie zostawiały na nikim suchej nitki. Czy jednak ich wypowiedzi nie oznaczają klęski eksperymentu, czy rzeczywiście tak było, jak piszą? Tak było, piszą prawdę i to nie całą. Opisują nasze i swoje porażki, ale na ostateczny wynik eksperymentu składa się suma minusów i plusów, a tych ostatnio było nieporównywalnie więcej.

Mój entuzjazm dla „Szkół pod żaglami” nie zmalął po rejsie. Uważam, że jego idea jest słuszna bez względu na wady jej realizacji, których starałem się nie ukrywać, bo ich poznanie też jest cennym doświadczeniem na przyszłość. Oceny rejsu nie można zamykać tylko w kręgu przeżyć uczniów „Szkół pod żaglami”. Chciałbym podkreślić, że rejs przyniósł szereg korzyści społecznych jeszcze, zanim się na dobre zaczął, i przynosi po jego zakończeniu. Oprócz niezaprzeczalnych wartości wynikających ze zmobilizowania ponad tysiącosobowej grupy młodzieży do opieki nad ludźmi tego potrzebującymi, rejs był dowodem mogącym przekonać wielu wątpiących, że nawet w najbardziej nieprzychylnych warunkach można osiągnąć cel, do którego się konsekwentnie dąży. Dodatkową korzyścią wyprawy jest również nakręcenie kilkunastu, a może nawet więcej, wartościowych filmów zrealizowanych z inicjatywy Krzysztofa

Baranowskiego i Janusza Cieliszaka. Nie są to tylko filmy o rejsie, lecz także krajoznawcze, obyczajowe, morskie i inne. Rejs przyniósł też kilka książek o nim, z których jedną* napisał szesnastoletni uczeń, uczestnik rejsu, najmłodszy autor w Polsce — Sergiusz Nawrocki. Inni chłopcy publikowali swe listy, wspomnienia, wypowiedzi w prasie codziennej i periodykach. Fakty te dają dobre świadectwo o „Szkole pod żaglami” i jej uczniach. Pomysł „Szkół pod żaglami” podchwycili Kanadyjczycy czarterując „Pogorię” w zimie 1985/1986, by powtórzyć nasz udany — podkreślam: udany — eksperyment, a nawet z małymi zmianami trasę podróży.

W roku szkolnym 1987/1988 „Pogorę” znów wyczarterowano kanadyjskiej „Szkole pod żaglami”.

Jeśli idzie o grupę uczniów, to korzyści wyniesionych z rejsu, nie licząc oczywistego zysku wynikającego ze zwiedzenia świata, naprawdę można im pozazdrościć. Chłopcy, zgodnie z ich własnymi wypowiedziami, przede wszystkim nauczyli się bardzo trudnej sztuki, jaką jest rzetelna praca. Nauczyli się czegoś jeszcze trudniejszego: umiejętności łączenia jej z nauką. Szacunek do pracy, którego nabrali w trakcie rejsu, pozwolił im uświadomić sobie, często wcześniej zupełnie niedostrzegany, ogrom wysiłku rodziców, jaki wkładają w wychowanie dzieci oraz utrzymanie i prowadzenie domu. Wszyscy nauczyli się cenić czas i umiejętnie nim gospodarować, zrozumieli, że chcieć — to móc i szybko pojęli starą, a nie znaną w Polsce prawdę, że człowiek znający kilka obcych języków jest wart tyle, ile kilku ludzi łącznie. Jestem przy tym przekonany, że to całe zyskane przez nich niezmiernie bogactwo jest wartością nieprzemijającą.

Ale to moje zdanie. Zajrzyjmy raz jeszcze do wypracowań chłopców, aby przekonać się, jak oni bilansują dorobek rejsu:

* Sergiusz Nawrocki: Byłem Kaczorem. Wyd. Glob, Szczecin 1985

...Cały ten dwustudniowy okres był dla mnie jedną wielką lekcją. W tym czasie zdobyliśmy bardzo wiele doświadczeń, które teraz pozwalają mi zupełnie inaczej patrzeć i oceniać otaczających mnie ludzi i świat. Na pokładzie „Pogorii” i w portach poznałem wielu bardzo ciekawych ludzi. Zobaczyłem, w jaki sposób można żyć naprawdę pełnią życia, wykorzystując swój czas i zdolności do maksimum. Zrozumiałem, że aby być człowiekiem, z którym liczą się na świecie, trzeba osiąść jeszcze bardzo wiele umiejętności... Teraz morze nie jest dla mnie wrogiem żywiołem, ale stało się domem, domem, który pokochałem. (...) Doświadczenia zdobyte w „Szkołe pod żaglami” pozwolą mi zmienić swoje życie i uczynić je ciekawszym.

...Moim zdaniem, głównym skarbem, jaki posiadamy, jest poznanie praw rządzących w świecie dorosłych. Będąc w kraju pod opieką rodziców, nie wiedzieliśmy, co to są problemy życiowe i kłopoty. Dzięki rejsowi wyzbyliśmy się dziecięcych, nierealnych marzeń i poznaliśmy rzeczywiste życie, jego wady i zalety. Wracając do kraju, będziemy posiadali pewien bagaż doświadczeń, który zapewni nam lepszy start życiowy od naszych rówieśników. Poważną zaletą tego rejsu jest poznanie wartości ludzkiej pracy... W kraju rodzice wykonywali za nas wszelkie prace, chroniąc synków od przemęczenia. My nie pracując i mając zapewnione swoje potrzeby, nie docenialiśmy poświęceń naszych matek i ojców... Przebywając tyle dni na morzu, nauczyłem się również wykorzystywać czas. Będąc w domu, często marnotrawiłem czas, nie potrafiąc go właściwie rozplanować. Tu na morzu każda chwila zostaje umiejętnie wykorzystana i wypełniona zajęciami. Po powrocie do kraju na pewno łatwiej będzie mi się żyło i pracowało.

Dla takich chłopców, jak my 100 dni poza domem, pod twardą ręką starych żeglarzy, to szmat czasu. W tym okresie można się zmienić o 180°. Uważam nawet, że z niektórymi tak się stało i twierdzę także, że obrót nastąpił w odpowied-

nią stronę. (...) Przez trzy miesiące żyjemy, 30 chłopców, w jednej grupie. Straszono nas, że już po jakimś czasie nie będziemy mogli na siebie patrzeć. Jest zupełnie odwrotnie, atmosfera staje się coraz bardziej przyjacielska, wesoła i jakby domowa. Zżyliśmy się ze sobą i czujemy się dobrze, to samo odnosi się do kadry...

...Jestem pewien, że gdyby jeszcze raz od początku miało się to powtórzyć, to bym się spokojnie zdecydował. Dotychczas już nauczyłem się tyle, ile w kraju uczyłbym się przez kilka lat...

Mija już ponad 100 dni rejsu, który każdemu z nas utkwi na pewno w pamięci na całe życie. Już te prawie cztery miesiące pobytu na morzu w zupełnie innych warunkach spowodowały wiele zmian w mojej mentalności i myślę, że nie tylko w mojej. Pracując i ucząc się w warunkach, jakby nie było, gorszych niż na lądzie, zobaczyłem jak dużo może dać dobra organizacja pracy oraz ile czasu marnowałem w domu. Teraz, kiedy go właśnie brak np. na poczytanie książki, właśnie w tym okresie zacząłem naprawdę zastanawiać się nad sensem życia, sytuacją panującą na świecie i nad swoim postępowaniem. Wiem, że po tym rejsie zajdą duże zmiany w podejściu do niektórych spraw. Po prostu przedtem byłem zbyt naiwny i widziałem wszystko w różnych barwach. Ten rejs jest dla mnie słusznym kopniakiem... Mimo nawału pracy i nauki nie narzekam. Jest to na pewno dobra szkoła życia...

... W wypracowaniu tym nie chciałbym ani krytykować szkoły, ani jej gloryfikować. Ma ona bardzo wiele cech pozytywnych, jak również sporo minusów. Jednak faktem bezspornym jest to, że ten studniowy pobyt na „Pogorii” dał mi zupełnie inne spojrzenie na wiele spraw. Przede wszystkim zobaczyłem, że szkoła może wyglądać zupełnie inaczej, niż się ogólnie przyjęło. Zrozumiałem, że można się uczyć

o wiele bardziej intensywnie. Oczywiście było to trudne, ale z czasem powoli się nauczyłem oszczędzać, wykorzystywać każdą wolną chwilę. Zmienił się także mój sposób widzenia stosunków między nauczycielem a uczniem. Tutaj nauczyciel jest o wiele bardziej bezpośredni niż w szkole na lądzie. Na „Pogorii” nauczono mnie także ciężkiej pracy. Gdy sobie czasem przypomnę, że w domu jakaś praca wydawała mi się ciężka, porównam ją z tym, co muszę prawie codziennie robić na jachcie, to chce mi się śmiać...

Chciałbym jeszcze przytoczyć fragmenty dwóch spośród wielu listów otrzymanych od chłopców kilka miesięcy po zakończeniu rejsu, na który mogli spojrzeć już z pewnej perspektywy. Wybrałem listy tych, którzy na „Pogorii” zakończyli rok z kilkoma ocenami niedostatecznymi i musieli zdawać w swych szkołach egzaminy z nie zaliczonych przedmiotów.

... Egzaminy zdałem. Nie było to takie trudne. We wszystkich trzech przypadkach otrzymałem ocenę dobrą, co na pewno w porównaniu z poziomem „Szkoły pod żaglami” równa się ocenie co najwyżej dostatecznej. Zdaję sobie sprawę z tego i do góry z radości nie skakałem otrzymując te czwórki. Strasznie tęsknię za „Pogorią”, chciałbym znowu stanąć przy jej sterze i płynąć podanym kursem. Całe wakacje pływałem po jeziorze. Niestety, nie mogłem sobie wyobrazić, że moja żaglówka to „Pogoria”, a jezioro to ocean. Dopiero w nocy nareszcie nie było widać drzew i tak się czułem, jakbym był na morzu. Na żaglówce zamontowałem sobie samoster i śniłem, że płynę samotnie dookoła świata... Rozpoczęła się już szkoła i normalny, lądowy tryb życia. Czasem, gdy siedzę na lekcji (nudnej zresztą), przypominam sobie chwile tamtej szkoły, gdzie wpadał p. Robak, mówiąc „Witam panów — wyjmujemy karteczki”.

I drugi list:

... Pamięta Pan zapewne, jak podczas rejsu przeżywałem momenty zwątpienia i rezygnując z podjęcia walki, postanowiłem powtarzać klasę. Na szczęście momentów tych nie było dużo i dzięki Pana pomocy z zapalem wracałem do książek. Zaraz po rzuceniu cum przy kei w gdyńskim basenie jachtowym, kiedy zobaczyłem swoją klasę, która przyjechała mnie powitać, utwierdziłem się w przekonaniu, że powtarzanie klasy byłoby zbędnym i nad wyraz nieefektywnym zakończeniem trudu, jaki na siebie wziąłem... Pani dyrektor po obejrzeniu świadectwa postanowiła zatwierdzić oceny pozytywne, a przedmioty, które zostały mi do przeegzaminowania musiałem zaliczać u poszczególnych profesorów. (...) Kiedy wreszcie pojawiłem się w szkole, stanąłem oko w oko z profesorem od historii. Musiałem teraz w kilku lakonicznych odpowiedziach streścić cały rok szkolny. Miałem chyba szczęście albo pytania były takie, jakich bym sobie życzył, ponieważ po odpowiedziach owacyjnie przyjmowanych przez klasę profesor stwierdził, że tego się nie spodziewał i postawił mi cztery. Żeby nie wyszło na to, że chcę się przed Panem pochwalić, napiszę jeszcze tylko, że egzaminy z matematyki i fizyki uwieńczone zostały trójkami... Zaczął się nowy rok szkolny, a od końca rejsu minęły już trzy miesiące i teraz dopiero zauważam, jakie odniosłem z niego korzyści. Do szkoły poszedłem z zapalem i od razu zauważyłem, że różnię się nieco od moich rówieśników. Mam dużo czasu na odrabianie lekcji, na uczenie się, na czytanie lektur i nie tylko. Ciągle brakuje mi zajęć, chcę coś robić i dlatego pomagam rodzicom w zajęciach domowych, uczę się grać na gitarze, rozpoczynam kurs języka angielskiego, a w lutym kurs na stopień sternika jachtowego. (...) Staram się więc, żeby nie zepsuła mnie na nowo codzienność, a to co osiągnąłem, zawdzięczam udanemu eksperymentowi „Szkoły pod żaglami”.

4. KONIEC WIELKIEGO REJSU

Dziewiątego czerwca po raz ostatni rzuciliśmy kotwicę — już na redzie Gdyni. Stęsknieni rodzice wynajęli spacerowy stateczek i krążyli wokół „Pogorii”, wypatrując swe pociechy wśród chłopców pracujących nad ostatnią kosmetyką jachtu. Ze względu na nie dokonaną jeszcze odprawę graniczną i celną, na jacht wejść nie mogli. Oprócz stateczku z rodzicami pojawiły się jeszcze dwa czy trzy jachty, i to wszystko. Nie było porównania z Durbanem czy Cape Town. Gdańskie środowisko żeglarskie wyraźnie nie chciało dostrzec rejsu „Pogorii”.

Nazajutrz, w niedzielę 10 czerwca 1984 roku punktualnie o godzinie jedenastej „Pogoria” weszła do Basenu Żeglarskiego. Gdy żaglowiec minął główki portu eksplodowała petarda, a Cezar rzucił z rei kukłę Kaczora, która wpadłszy do wody, utonęła. Miało to świadczyć o tym, że nie ma już ofermowatych Kaczorów, lecz są prawdziwi żeglarze. Ten symboliczny gest był pomysłem Drapelli, który po przybyciu do Aleksandrii załagodził w dowcipny sposób pretensje chłopców o brak partnerskiego ich traktowania.

— Jak skończymy rejs — powiedział Andrzej — przestaniecie być Kaczorami, a staniecie się dojrzałymi żeglarzami i wówczas możemy przejść z sobą nawet „na ty”, a kukłę Kaczora utopimy w morzu.

Chłopcy propozycję przyjęli i tak właśnie się stało.

Śmignęły rzutki, obłożono cumy i jacht stanął przy kei. Orkiestra zagrała hymn, kapitan złożył meldunek ministrowi do spraw młodzieży i chłopcy mogli wpaść w objęcia rodziców, a kadra uściskać swych najbliższych, przyjaciół i znajomych. Potem jeszcze formalności graniczne, wręczenie świadectw szkolnych, książeczek żeglarskich, opinii,

konferencja prasowa, tuzin innych spraw i rejs był zakończony.

Kilka godzin później w Klubie Marynarza odbyła się pierwsza i ostatnia wywiadówka dla rodziców, a po niej miłe spotkanie przy kawie, urozmaicone występami pogoriowego kabaretu z przygotowanym ad hoc programem na temat zakończenia rejsu. Rodzice ofiarowali kadrze sympatyczne upominki, wszyscy otrzymali pamiątkowe medale wybite z okazji rejsu. Traktowano nas jak bohaterów.

— Prawdziwymi bohaterami tego rejsu są matki, siedzące na tej sali — powiedział Andrzej Drapella — które odważyły się powierzyć nam swe dzieci.

Musiałem wyjść przed zakończeniem spotkania, by dać szansę wzięcia w nim udziału wachtującej Karmenie. Jacht bez Kaczorów wydawał się martwy. Następnego dnia przejmowała go inna załoga i miała odprowadzić do stoczni dla dokonania zaplanowanego remontu. Dopełniając ostatniego wpisu w dzienniku jachtowym, rzuciłem okiem na rubrykę bilansującą rejs. Trwał on 278 dni, z czego 103 dni spędzono w portach i na kotwiczowiskach. Było ich czterdzieści kilka. Czystej żeglugi pod samymi żaglami uzbierało się 1344 godziny, a na samym silniku oraz na żaglach i na silniku — 2837 godzin. Pod salingami powiewało 16 nie zdjętych jeszcze bander odwiedzonych przez nas państw, a z grotmasztu spływała białoczerwona wstęga o długości 26 metrów i 53 centymetrów, świadcząca o tym, że przepłynęliśmy 26 530 mil morskich, to jest więcej niż wynosi obwód Ziemi na równiku. Trzeba było jeszcze zdjąć te flagi, załatwić parę spraw związanych z przekazaniem jachtu, pożegnać się i wracać do szarej, lądowej rzeczywistości.